

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



JESUS CHRISTUS CONSOLATOR.

MARYA ANIELA KERR.

Na południowym wybrzeżu Irlandyi, między skalistymi wysokami tego wybrzeża a stepem wrzosowisk, wznosi się starożytny zameczek Kerrstone, niegdyś obrotowy, bo trzymający straż przeciwko napadom rozbójniczych Normanów. Nieduża wioska, zamieszkała głównie przez ubogą ludność rybocką, tuli się do stóp jego, lecz w zamczku, którego główna, środkowa wieża już zniknęła, bo grożąca ruiną została rozebrana, mieszka, nie rycerz z ręką na mieczu, gotowa zawsze do wyciągnięcia jej z pochwy, jak to przedstawia herb rodziny Kerr, wykuty w kamiennej płycie, widniejącej nad główną bramą zamczka, ale kobieta, panna doletnia, która kilka lat temu pochowała ojca i teraz samotna rządzi tu sobą, a można dodać: wioską, bo jej mieszkańcy, jak jest w Irlandyi niemal ogólnie, ulegają dotąd wpływowi starej tradycyi i widzą w szlachcie naturalną swoją władzę i opiekę. Marya Aniela poczuwa się też do obowiązków tej opieki nad przywiązaną do niej ludnością wioski, lecz mienie jej dość szczupłe nie pozwala, aby była kasztelaną bardzo hojną i głównym jej datkiem dobroczynnym jest wpływ moralny, obok osobiście przez nią dokonywanego uczenia kobiet tych różnych rzemiosł niewieściech, które dać mogą zarobek, nie odrywając od domowego ogniska. Związała w celu tego zarobku stosunek z niewieściami stowarzyszeniem w Dublinie *Siostr Dobrej Pomocy*, których zadaniem jest uzdalnianie dziewcząt do pracy zarobkowej i dostarczanie im sposobów zbytu wyrobów swoich, co, na nieszczęście, staje się z rokiem każdym rzeczą trudniejszą, tak w państwie Wielkiej Brytanii, jak wszędzie.

Marya Aniela, usiłując być tu pożyteczną, nie zamyka się przecież wyłącznie w kole dobroczynnego działania na kobiety i dla kobiet. Wziąwszy sobie rozumnie za prawo postępowania starą maxymę: — Człowiek jestem i wszystkim ludzkie zajmuję mnie... świadczy tesame dobrodziejstwa ludności męskiej i tak kształcenie młodzieży, jak nauka męskiego przemysłu domowego przeprowadza się we wsi Kerrstone z równą dbałością, a nawet jest tu rozwijana staranność niemal wyższa z powodu, że rzecz przedstawia i trudności większe. Rzeźba w drzewie była pierwszym rzemiosłem, rzemiosłem artystycznym, nauczaniem w oddziale szkółki chłopców, potem dla starszych przyszła nauka stolarstwa i kowalstwa, co przecież mogło się odbywać na miejscu tylko przy urządzeniu stolarni i kuźni; Marya Aniela sprzedawała też na cel zyskania potrzebnych środków starożytny syngnet brylantowy, który, oprócz tego, że był pamiątką rodzinną, przedstawiał znaczną wartość pieniężną, mogącą coś znaczyć dla osoby średnio zaможnej. Gdy ktoś z sąsiadów wymawiał jej to, bo z pierścieniem owym łączyło się wspomnienie jednego z jej przodków historycznej pamięci, Maurycego Kerr, sławnego partyzanta w czasie ruchów Irlandyi w siedemnastym stuleciu, ona odpowiedziała spokojnie, że ten jej pradziad świętej pamięci byłby niezawodnie postąpił wobec podobnych okoliczności tak, jak ona — byłby zamienił szacowny klejnot pamiątkowy na szacowniejszy zawsze chleb, gdy karmi usta głodne.

Marya Aniela nie jest jednak chłodną realistką. Uczucie silnie rozwinięte: prawdziwa miłość bliźniego jest sama w sobie dążeniem do najszlachetniejszych ideałów ludzkości, jest zatem poezją, i kto postępuje tak, jak ona, ma ją niewątpliwie w duszy. Dowiódł tego czyn jej szlachetny, choć może nierozsądny. Za lat jej życia wiosennych kochał ją silnie jej brat stryjeczny, Henryk Kerr, młodzieniec uciechy i pod każdym względem godny miłości takiej, jak ona kobiety, bo obok tego, że umiał dobrze rządzić życiem swoim, że posiadał jako inżynier utrzymanie przyzwoite, był przystojny, odpowiadał jej wiekiem, a przez ojca jej, który mocno życzył sobie tego związku, był bardzo lubiany; ona przecież odmówiła mu — przez szlachetną dobroć serca. Druga kobieta, wspólna oboj-

gu kuzynka, pokochała pięknego młodziana, biorąc jego życzliwość krewnego za miłość, i gdy dowiedziała się, że jest inaczej, rzuciła się Maryi Anieli do nóg, zaklinając ją, aby nie odbierała jej tego, z którym było związane szczęście jej życia. Nie odebrała też: odpowiedziała ukochanemu, że obowiązki jedynej córki nie pozwalają jej opuścić starego ojca, do czego przecież byłaby niewątpliwie zmuszoną, idąc za niego, bo zajęcie inżyniera nie zawsze pozwala mu trzymać się stale na miejscu. On, szanując motywa odmowy, rozżalił się niemniej bardzo gorzko i powiedział jej, że gdyby go jednak kochała, znalazłaby środek pogodzenia obowiązków żony i córki, bo ojciec jej, już sędziwy, mógłby porzucić gospodarstwo i zamieszkać przy nich.

Nie odpowiedziała nie, ale namówiła ojca na podróż; pojechała z nim do Południowej Francyi, do Włoch, może lekając się własnego serca — lekając się, aby postanowienie jej nie zesłabło. Miłość, którą wzbudziła, była jednak tak silną, że choć odrzucony przez nią młodzieniec ożenił się z kobietą, która ich rozdzieliła, gdy potem w lat dziesięć umarła, on, chowający w sercu coś pierwszej miłości, wyciągnął znów rękę do niej — do kochanki lat młodych, zwłaszcza, że umierająca wyznała mu prawdę przed zgonem. Marya Aniela odpowiedziała przecież, że teraz już zapóźno dla niej na małżeństwo, że chce pozostać mu aż do śmierci przyjaciółką, wierną, jakgdyby przysięgła to u ołtarza, serdeczną przyjaciółką, ale taki tylko stosunek może już istnieć między nimi. Rzecz przypadła też na chwilę nie odpowiednią dla godów weselnych; ojciec jej, już bardzo posunięty w lata, wymagał tych starań tklivych, które ona tylko dać mu mogła i w których widziała obowiązek, niemożliwy jednak do wykonania, gdyby dzielić go musiała z powinnościami żony i matki rodziny.

Odrzucony raz wtóry obraził się, rozżalił, nie chciał uwierzyć, aby kiedykolwiek życzliwą mu była, lecz w kilka miesięcy potem, gdy dla interesów zawodu swego znalazł się w okolicy, którą zamieszkiwała, nie zdołał obojętnie pominąć jej domu i spostrzegł, że według swego pojęcia obowiązku Marya Aniela miała może słusność, odrzucając jego rękę, gdy się powtórnie wyciągnęła do niej. Starzec nie tylko teraz zesłabł, ale ocieśniał, i ona, córka dobra, chciała być obok niego na tem wygnaniu samotności, które smutne kalendarstwo, połączone z niemocą późnej starości spowodowało na biedaka, wykreślonego niejako z rejestru żywych ludzi. Kerr uczył też takie uwielbienie dla cnoty tej szlachetnej, że raz w chwili umiesienia klęknął przy jej nogach i ujawszy rąbek jej szaty, pocałował z uszanowaniem, jakgdyby to była relikwia, a ona, nagle tracąca panowanie nad sobą rozplakała się — zalała rzewnymi łzami, które odkryły mu to, czego nie wypowiedziały usta.

Dowiedział się teraz, że go kochała. Różne rzeczy drobne, różne niby przypadkowe okoliczności, występujące teraz w świetle innym, wykazały mu to dowodnie. Był tego pewnym, lecz poznał zarazem, że rzeczywiście już zapóźno było dla obojga na małżeństwo, i powiedział jej to, dodając, że są związki dusz, związki serc, dla których nie ma znaczący czas, ani przestrzeń, bo ta nie rozdziela tego, co jest prawdziwie złączonym. Niemniej chciał być blisko niej, chciał ją widzieć czasem, głos jej słyszeć, przytem zamierzał już oddawna kupić sobie kawałek gruntu w okolicy rodzinnej, aby odpocząć tu po pracy życia, które, wyjawszy majątku, nie przyniosło mu nic, i zapragnął też tem silnie mieć choć zachód istnienia łagodnie miły w jej pobliżu.

Historia tej miłości czystej i wiernej, tajemnica pięknej duszy kobiecej nie mogła zostać zupełnie utajoną przed ludźmi i była chwila, że chciano ucześć w okolicy cnotę szlachetnego poświęcenia tej Antygony nowożytniej jakimś uroczystym wyrazem szacunku uczuwanemu, ale lekano się, coś tu urazić — dotknąć mimowoli skryte rany jej serca, bo ktoż wie: zali niekiedy nie krwawi się ono jeszcze? a że Irlandya nie posiada instytucyi, która daje formę wyrazowi hołdu takiego — nie ma nagród cnoty Montyona, więc głębokie uszanowanie ludzi

zbliżających się do tej szlachetnej musi być ogólnej czei wyrazem.

M. I.

Zal mi ciebie!

Zal mi ciebie! — na pierś twą, biedna ziemi cORO,
Pada mrok wieczny nigdy nieprzespanej nocy,
Straszny w tej pustce ducha, posepnój, sierocój,
Jak grób, z którego nicosć spogląda ponuro.

Zachwytem nie namaścił ciebie palec boży...
W śnie myśli i w śnie uczuć nie znasz świtu ducha!
Pierś twa, słaba, i gromów i burzy się trwoży —
A natchnień wieszczych świętej przyrody nie słu-
[cha.

Niekiedy głos serdeczny zdala ci przyniesie
Tętno życia, to, którem biją serca ludzi...
Rozbrzmi echem stłumionem w pustym uczuć lesie,

Na chwilę serce martwe do życia obudzi...
Lecz wnet milknie głos ducha, co czary słał tobie...
W twej duszy znowu cicho i ciemno, jak w grobie...

Antoni Pilecki.

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

Dzień był chłodny, niebo pokryło się chmurami i mżyło drobnym deszczem. Droga wiodąca do Ogarówki, grzęznąca w lepkiem błocie, sunęła się powoli kareta, zaprzężona w sześć koni. Woźnica co chwila smagał biczem lejeowego; lokaj, siedzący przy furmanie na koźle, drzemał, za każdym tylko mocniejszym stuknięciem powozu, — co często się przytrafiało, bo gościniec był pełen wybojów — podnosił nagle głowę, „psia droga!“ mruknął i napowrót w drzemkę zapadał.

Po balu, który zakończył szereg przyjęć i zabaw u szambelana, do domu wracał pan Zygmunt z żoną. Pochmurny był, siedział zamknięty w głębi powozu i patrząc bezmyślnie przed siebie. Gdy wzrok żony zwracał się ku niemu, przymrużał oczy, udając sen; zapytany, odpowiadał półsłówkami albo niechętnem kiwnięciem głowy. Pani Zofia, nie mogąc rozruszać zaspanego czy zasępionego męża, gdy nawet ramię lekko usunął, na którym głowę oparła, odwróciła się w przeciwną stronę, przez zasunięte okno karety patrząc na niebo, chmurne jak czoło pana Zygmunta.

A niebo zasępiło się coraz mocniej, mrok ziemie okrywał i drobny deszcz nieustannie padał, Woźnica przemawiał do koni i emoktał, lokaj się rozbudził i kłąć począł.

— Psia droga! a woda już za kołnierz się dowiaduje.

Pokręcił szyją.

— Czy my dziś staniemy u siebie, ha?

— Abo to daleko już do Ohorówki, co? — mruknął Todor.

— A kto tam wie, gdzie teraz jesteśmy. Ciemno jak w szafie!

— Dla mnie widno jak w masztarni—zaśmiał się woźnica.

— Jaby zaraz wywrócił, żeby tylko *lice* do ręki wziął. Jak pan Todor widzi, to już nie wiem.

— Jak można—odpowiedział zapytany.—*Oczamy to oczamy*, nosem to nosem, byle do rowu nie wleźć, dziury w moście ominąć a jechać akuratnie.

— Każdy swoje zna: wy furmaństwo a ja lokajstwo.

— El co tam lokajstwo!—mruknął Todor.

— Niby nie, a gorsze, niż furmaństwo—ciągnął lokaj. — Trzeba być zawsze na oczach i pilnować się aż strach.

— Nie zawsze tam tak i pilnują—odpowiedział furman.

— No, nie bez tego, żeby czasem z butelki nie skosztowało się wina, albo palcami andruta nie ściągnęło. Co trudno, to trudno! uwaga musi być i na siebie i na innych.

— Andrut to nie owies, mierzony ta ważony.

— Baibardzo!

— I owszem!

Todor ściągnął lejce i zwolnił bieg koni.

— Co to?—zapytał lokaj.

— Kołowrót...

— Nasz?

— Aha!

— Chwała Panu Jezusowi, a to już woda do pasa się dobrała... Brr!... psi deszcz!...

Powóz się wtoczył w lipową aleję. Cicho było, tylko odgłos angielskiego resoru się rozlegał i konie, czując blizki spoczynek, parskać zaczęły.

— Zwolna, deresze—przemawiał Todor.

Wies spała; słabe tylko światełko paliło się w mieszkaniu Korabieca.

— Pan Michał czuwa—odezwała się Zosia.

— Uhu!—mruknął Skalski.

Zosia wzruszyła lekko ramionami i zasunęła się w głąb' powozu.

Korabiec siedział pochylony nad książką i czytał. Dźwięk resoru obudził go, wybiegł szybko na ganek i rzucił wzrokiem przed siebie.

Ciemno było, deszcz drobny, jakby przez sito siany, padał—tylko powóz toczył się dalej lipową aleją, turkot ucichł a brytany zawarczały na dziedzińcu dworu pana Zygmunta.

— Wrócili—szepnął Korabiec.

Wszedł do pokoju przed chwilą opuszczonego, lecz już się do książki nie zbliżył. Stał przed oknem i w ciemności patrzył.

Powóz Skalskich zatoczył się przed ganek, na którym od paru już minut stał Grzegorz. Dłoń do oczu przyłożył, jakby chciał się upewnić, kogo to losy przynoszą. Z niepewności tej wyrwał go głos Zosi.

— Dobry wieczór, Grzegorzu!

— A, pani!—krzyknął starowina—niech będzie Panu Jezusowi chwała na wieki, amen! A tu tak tęskno było, że ledwie duszę można było w ciele utrzymać.

Skoczył naprzód i po chwili w jadalnym pokoju światło zabłysło.

Zosia poprzędziła Zygmunta, który siedł za nią otulony w burkę, z sakwojazem, przewieszonym przez plecy. Pierwszą czynnością młodej gospośi było zawołać kucharza i wydać rozkaz, by zaraz zajął się wieczerzą, bo pan głodny być musiał; później zrzuciła długie, w stan wpadający paltocik, głowę z kapturka oswobodziła i, nucąc jakąś piosnkę półgłosem, podbiegła do zwierciadła. Obróciła się w lewo, w prawo; posłała ukłon odbitej w dużej lustrzanej szybie postaci swojej, uśmiechnęła się, podniosła na palcach i wykręcając się na miejscu stanęła przed mężem: tonął w zamyśleniu.

— Czy ty liczysz tafle w posadźce?—zapytała go z uśmiechem.

Podskoczyła i obiema dłońmi za głowę go wzięła.

— Zkąd te miłości?—zapytał Zygmunt niechętnie, unikając uścisków Zoehny.

— Ze jesteśmy nakoniec u siebie... Ach!—odetchnęła głęboko.

— Zdaje się, że i u szambelana było ci nieźle? dogadzał jak rozpieszczonemu dziecku.

— Albo ty mnie nie rozpieszciliś?

— Tak, ja!—rzucił przez zaciśnięte usta, zapalając papierosa przy świecy.

— Wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej!—śpiwnym głosem odezwała się Zosia. — No! ty, maruku—pocałujże Zoehnę?...—dodała pieszczotliwie.

Zygmunt pocałował krótko, zimno i zwrócił się do Grzegorza.

— Mielicie tu chorobę...

Stary skinieniem głowy przyświadczył.

— Tyfus?

— Strach jaki!—szepnął Grzegorz—kiedy i Piernacka temu choróbsku się poddała.

— Dużo ludzi zginęło?

— Niktby, jasnie panie nie wykręcił się, gdyby nie pan Michał.

— Co?—zapytał przeciągle Skalski.

Zosia zbliżyła się do mówiącego.

— Szczera prawda, tak jak mnie ziemia święta nosi! Tu, jasny panie, takie było przerażenia, że ludzie głowy potracili i okołowacielei zupełnie. Strach wspominać co to za nieszczęście było!... Zaledwie człek nad rankiem oczy otworzy, a tu—bum! dzwon wali, kogoś choróbsko zabiło i ksiądz grzeszne ciało na wieczne odpocznienie prowadzi. Nie skończył człowiek pacierza, a tu—bum! raz i drugi. Tam chłop, tam kobieta, tam dzieciak—młody, stary—nie to, aż nakoniec i Piernacka się położyła (świeć Panie nad jej duszą!). Powaryowali ludzie od nieszczęścia i nie wiedzieli co robić, łbem o ścianę, czy hulu do wody. Nie zwaryował tylko pan Michał (daj mu Panie królestwo niebieskie!) Jak się zawinał, aż choróbsko się przestraszyło, zabrało, co zabrało, i jak w ziemię się zapadło...

— Cóż on tam robił?—zapytał Zygmunt.

— Wszystko robił, jasnie panie, i za wszystkich, bo nikt nie robił. Komu trumny potrzeba było, na trumnę dał i sam ciało do niej na wieczne odpocznienie położył; komu lekarstwo wsypać trzeba było do gardła, to sypał—i w nocy chorych doglądał. Na jego rękach umierali, a już nie tak straszno było grzeszej duszy do wieczności przechodzić, gdy ktoś pacierzem świętym odprowadza. Na jego rękach i zdrowieli, bo pilnował jak matka rodzona i jak rzekł: nie umrzesz! to i wstyd było sprzeciwić się. Do tego też i przyszło, że w której chacie był pan Michał, tam śmierci nie było, gdzie nie był, tam śmierć przysła i swoje zrobiła. Kiedy spał, to ja nie wiem! Od świtu do nocy—od nocy do świtu, na nogach był. Nakoniec ksiądz zachorował i chciał umrzeć, ale pan Michał nie pozwolił. Nie było go przy Piernackiej i dlatego... Umilkł i rękawem lzy otarł.

— Ha! świeć panie nad jej duszą, już tak sądzono! Ja jeszcze nie wiedział, że pan Michał ludzi ratuje. Ot, gdyby nie on, byłoby Grzegorza...

— Chorowałeś?—zapytał Skalski.

— Już Abraham mnie wołał do siebie, kiedy pan Michał nadbiegł. Wsypał mnie zaraz coś białego, lodem obłożył, na ręce wziął i do łóżka wpakował, bo ja, coś niby, gdzieś, jak mi się dziś widzi, uciekać chciałem. Jak tam prawdziwie było to nie wiem, bo w głowie zamieszanie się zrobiło, prosto—śmierć. Tyle wiem tylko, że mi do piersi jakby kto żaru nasypał a skóra pękała od suchości. Później się w oczach czarno zrobiło i nieprzytomnie straszno. Spał ja czy nie spał—Bóg święty raczy wiedzieć i matka jego najświętsza. Aż ot, tak jakoś przed świtaniem, zrobiło mi się coś niby polepszenie. Poty wystąpiły gęste, jak rosa na liściach, i mnie się wydało—z przeproszeniem jasnie państwa,—że niby ja się w rynnę zamienił, z której woda ciurkiem się leje. Poprawiłem się na łóżku podniosłem się i patrząc, chcąc wiedzieć co to ze mną się stało—i widzę o kroków kilka od siebie śpiącego pana Michała na ziemi—ot, z przeproszeniem państwa, jak prosty człowiek. Pilnował mnie noc całą, aż się zmęczył i zasnął, nie nie wiedząc. Lecz skoro się ruszyłem, pan Michał zaraz się obudził, tak się *wzwycał* już, czuwając przy chorych. Przepadłby ja, jasnie panie, gdyby nie on. Ludzie od ludzi uciekali, czasem mąż od żony, żona od męża, takie już było skaranie niebieskie za śmiertelne grzechy nasze. Ale pan Michał zastąpił i męża i żonę oraz i kopacza, którego choroba zwała, a drugiego na razie znikąd dostać nie można było. Umarło tu ludzi kupa, wszyscy się pochorowali, tylko pan Michał zdrów został i cały dla pocieszenia strapiionych. Posłyszają, jasnie państwo, jak to ludzie

o nim mówią niby o świętym jakim. Ja wiem, że między państwem są bogacze, co to i pieniądze na kościoły i na pomniki ładne dają, ale on dał więcej niż pieniądze, bo siebie samego dał, i strapiionych nie opuścił i piękniejszy kościół zbudował i pomnik postawił, bo wdzięczność pocieszonych ludzi!

Grzegorz zapalił się, mówiąc o Korabiecu, twarz mu płonęła, oczy żywym ogniem świeciły. Zygmunt słuchał go ze spuszczeniem powiekami, Zosia z przytłumionym oddechem w piersi, nie spuszczać zrenie z opowiadającego. Przy ostatnich słowach Grzegorza, Skalski poruszył się niecierpliwie.

— Idź po wieczerzę—rzekł krótko.

Stary wyszedł—była chwila milczenia.

Zosia szybko zbliżyła się do męża.

— Słyszałeś?

— Co?—zapytał Zygmunt.

— Przerażenie, strach, śmierć rozpostarły tu panowanie swoje, a nas nie było!... Uciekliśmy na pierwszy odgłos zarazy, zostawiając lud biedny na łaskę losu. Uciekać! było pierwszą myślą naszą, nie obmyślenie środków ratunku, nie sprowadzenie lekarskiej pomocy, zaopatrzenie w chleb i choćby—w łachmany!... To dezereya żołnierza z pola bitwy, to zdrada naczelnego wodza, który ma tłum przewyższyć rozumem, odwagą i—zasługami!

— Zo-siu!—tonem perswazyi odezwał się Zygmunt.

— Mnie wstyd, gdy wspomnę, że tam rzucałam się w wir szalu i zabaw, a tu ludzie marli z rozpaczy!... Ha! był tylko jeden człowiek, który nie uciekł i to—tylko jeden!

— Zapominasz się!—nieco podniesionym głosem zawołał Skalski.

— Zyguncie! ten Michał to nie twój malowany szambelan, nie ja, nie...

Skoczyła mu w ramiona.

— Ach, wybacz! Ale ty sam czujesz—rzekła, głowę podnosząc ku niemu,—żeśmy postąpić powinni byli inaczej!...

— Co? co?—zawołał Skalski, uwalniając się z objęć żony. — Miałem ciebie i siebie narazić na niebezpieczeństwo tyfusu?... Nie bądźże dzieckiem! Podobało się panu Michałowi grać rolę bohatera—no! i z dobrym skutkiem ją odegrał. Teraz, jak już slyszalem—szczęści chłopom drzewa, robi ule i dzieci uczy—dodał z przekąsem.

— Wiem, wiem, wiem—szepnęła Zosia.

— Buduje sobie wspaniałą pomnik po śmierci.

— Którego mu nikt nie postawi—przerwała kobieta.

— Kto wie?...

— Jestem pewna!...

— Grzegorz może dać inacyatywę...

— Zyguncie! to żart nie w miejscu!

— Bo nie lubię w niczem przesady. Korabiec, nie zdolny do wyższych aspiracyi, zrobił co najwłaściwszem mu było.

— A! niech co chce będzie—odpowiedziała niechętnie Zosia—lecz pan Michał zolbrzymiał mi w oczach.

Skalski zazgrzytał.

— Ja zauważyłem, że on coś z myśli pani nie wychodzi—mruknął.

— Bo przyznał, że takich niewielu.

— Niéma, weale niéma!—zawołał popędliwie Zygmunt. Pan Michał z czasem stanie się twojem bożyszczem, do którego modlić się będziesz—z wielkiem zadowoleniem męża!

Zosia drgnęła, podniosła głowę i wzrok promienisty, jasny, czysty zwróciła na mówiącego. Nagle zaśmiała się i podbiegła do męża.

— Zyguncie!—zawołała—ty może myślisz, że ja go kocham?...

Skalski niecierpliwie gryzł wargi, unikając wzroku żony.

— Ej, figlarzu!—mówiła pieszczotliwie, przykładając malutki paluszek do ust zarumienionych—miałabym ja coś więcej do zarzucenia tobie, niż ty—Zochnie!

Na ramiona mu zarzuciła mu obie rączki i twarz swą na piersi jego przytuliła.

— Nie gadaj tak do mnie, brzydalu!—ciągnęła, kołysząc piękną głowę na jego ramieniu, bo i ja coś mogę o tobie powiedzieć.

— Co? co?—wyszeptał Zygmunt — a lekka bladeś pokryła mu czoło.

— Bałamucie! bałamucie!—szeptowała pieszczotliwie Zosia.—Płodkowe mam oczy, lecz one tak dobrze widzą jak i czarne. Widziały moje fiołki jak śledziłeś każdy krok pani Natalii, jak twoje spojrzenie zatrzymywało się na niej. Podobała ci się ładna kobietka, wiedziałam jednak, że to nie Zochna, która cię nigdy, nigdy kochać nie przestanie. Patrzyłeś na nią jak w tęczę, jak w obrazek—ale ta tęcza ma barw siedm, ten obrazek nie będzie przy tobie w złej czy dobrej doli, nie będzie tarczą, nie będzie puklerzem, promyczkiem słońca ani uśmiechem wiosny. To nie żona twoja, nie Zochna twoja, której złotą obrączkę dałeś i słowo, że jej wiernym zostaniesz do grobu. Natałka jest bardzo ładna—ale to nie Zochna, nie Zochna, nie Zochna!

Szczebotała tak; kołysząc główką na jego ramieniu, pewna serca i niezłomnej siły swojego męża.

Zygmunt drżał lekko, czuł jakiś ogień na ustach, który go palił. Dwie bruzdy głębokie zarysowały się mu na czole, które bladeło za każdym słowem żony. Zosia wyciągnęła ramiona, objęła szyję jego i szepnęła:

— Kochasz mnie, Zygmunco?...

Skalski lewą ręką objął kibić kochającej go kobiety, prawą objął płuwe pukle jej włosów i do ust poniósł. On nieraz pieścił się z tym szklnięcym, miękkim jak pęta, warkoczem, odurzał się wonią tych włosów. Dreszcz przeszedł przez ciało Zosi. Zygmunt ten dreszcz uczuł: przytulił jasne kędrzyki do warg spieczonych i zaczął całować z jakimś szalem, z jakąś namiętnością rozpaczliwą.

— Zosiu! Zosiu! — szeptał urywanym głosem. W tym szepecie był szmer jakiejś modlitwy, dźwięk niemej prośby, ciche błaganie o coś. Po chwili odjął ręce żony z ramion swoich, ucałował, obrócił się i wyszedł szybko.

— Jaki on dziwny czegoś! — szepnęła Zosia do siebie, patrząc chwilę za odchodzącym Zygmuntem. Później, kołysząc się lekko, zbliżyła się do drzwi kredensowych i uchylając je, zawołała:

— Grzegorz! a co tam z wieczera?

— Zaraz, jaśnie pani, już noszę — odezwał się stary.

Wszedł z półmiskiem i przewieszoną serwetą przez ramię.

— Poproś pana!—odezwała się Zosia.

Usiadła przy stole, na męża czekając.

Po chwili wszedł Zygmunt. Był niby senny, ale spokojny—uśmiechnął się czasem do figlującej żony, lecz wnet ten uśmiech przelotny spędzała głęboka bruzda, zarysowująca się na czole.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

(Dokończenie).

Dnia 1 Kwietnia 1892 r.

Pogody Marcowe.—*Carpe diem* Paryżanina.—Wystawy artystyczne: kobiet artystek (niepowodzenie) akwarelistów, pastelistów i *Independentów*.—Konferencye i kazania wielkopostne Stowarzyszeń Duchownych.—Protestacye i skandale.—Wybuchy dynamitowe.—Przechadzka po pałacu Mazariniego.—Jak wygląda schronienie nauk. — P. Renan.—Dorywczy szkic sławnego akademika i jego ostatnia książka: *Les feuillets détachés*.

A przecież ten pałac jest to dziś Instytut Francuzki — *alias* siedlisko i miejsce posiedzeń pięciu akademii, z których się ten instytut składa, to jest: Akademii francuzkiej, literackiej, Akademii Napisów i belletrystyki (*Belles lettres*) — dziwaczne zespolenie!—Akademii Nauk (ścisłych) Akademii Sztuk Pięknych i Akademii Nauk moralnych i politycznych.

Lewe skrzydło pałacu zajmują biblioteki: Mazariniego i Instytutu. Wpółrodku pod kopułą mieści się wielka sala posiedzeń kwartalnych

i dorocznych, każdej z pięciu akademii. W prawem skrzydle mieszczą się pomieszkania wieczystych, *perpétuels*, sekretarzy tychże akademii, bibliotekarzy, urzędników instytutu, składy, i t. d.

Biblioteka Instytutu i trzy sale, przeznaczone na posiedzenia pięciu akademii zajmują lewe skrzydło pałacu od podwórza i nie odznaczają się bynajmniej, ani wygodą, ani świetnością urządzenia, wogóle czuć tu wszędzie jakąś starzyznę. Pierwsza sala, pewien rodzaj przedpokoj, i druga, gdzie wywołana na ustęp publiczność oczekuje otwarcia podwoi, smutny przedstawiają widok. Zapelniona po obu stronach popiersiami z marmuru zmarłych, od początku tego stulecia członków instytutu, nosi żartobliwe nazwisko: *Campo santo*, po naszymu: cmentarz. Następna, trzecia sala, sala właściwie posiedzeń tygodniowych, każdej ze czterech akademii, bo Akademia Francuzka zasiada w czwartej, ostatniej, specjalnie dla niej przeznaczonej sali. Dodajmy tu, że posiedzenia tej najpopularniejszej Akademii nie są publiczne.

Umieblowanie wszystkich tych sal posiedzeń składa się z krzesel starego stylu, ciężkich i sztywnych, obitych zielonym aksamitem bawelnianym, przeznaczonych dla członków akademii — i z wązkie ławek, pod ścianami sal dla publiczności. Krzesła — są to one sławne czterdzieści foteli, o których tak często jest mowa przy wakującym miejscu akademika.

Przed rzędami tych krzesel ustawione są stoły pokryte zielonym sukmem. Pośrodku pod ścianą wznosi się pewne podwyższenie na którym zasiada tak zwane Biuro Akademii, to jest: prezes doroczny, vice-prezes i sekretarz wieczysty; w akademii francuzkiej jest jeszcze tak zwany „kanclerz“. Przedtem biuram, pokrytym również zielonym sukmem, ale bez podniesienia, jest trochę wolnego miejsca, na niem stół i krzesło. Jest to miejsce przeznaczone dla prelegenta, któremu daje głos prezydujący, stosownie do listy porządku dziennego rozpraw posiedzenia. Ściany tych sal sesyonalnych ozdobione są popiersiami z marmuru i portretami akademików z ostatniego stulecia, i dalej od początku akademii i instytutu. Te ostatnią nazwę nadano Pięciu Akademiom w czasie wielkiej rewolucyi zeszłego wieku. Popiersia i portrety nie mają wielkiej wartości artystycznej. Ostatnie są to mniej więcej dobre kopie z oryginałów, a niektóre robione według podania lub dokumentów. W głębi ostatniej sali — sali, jak-śmy mówili poświęconej specjalnie akademii francuzkiej, znajduje się dohra kopia portretu w całej wielkości kardynała Richelieu'go, założyciela tej akademii.

Posiedzenia tygodniowe czyli zwykle pięciu akademii odbywają się w następującym porządku:

Akademia francuzka w Czwartek o godz. 3-iej z południa, Akademia Napisów w Piątek o godz. 3-iej z południa, Akademia Nauk w Poniedziałek o 3-iej godz. z południa, Akademia Sztuk Pięknych co Sobota o 3-iej godz. z południa, Akademia nauk moralnych i politycznych co Sobota o godz. 12-iej w południe.

Każda z tych pięciu akademii składa się z liczby czterdziestu członków ordynaryjnych — a oprócz tych z pewnej liczby akademików tak zwanych wolnych i korespondentów krajowych i zagranicznych. Listy wyborcze układają się według prośb o przyjęcie nadsyłanych do akademii przez samych kandydatów. Członkowie zagraniczni i korespondenci krajowi wybierani są przez samych akademików.

Ten, kogoby ciekawość zaprowadziła do tych sal Instytutu Francuzkiego we Czwartek lub w Piątek, stojąc w sali N-r 2 przed godziną 3-nią z południa pewny byłby zobaczyć niejedną postać uczonego o którym już coś zasłyszał z góry, i byłby bardzo szczęśliwy znalazłszy kogoś, coby mu wytłómaczył niejedną zagadkę...

Tak mnie się zdarzyło na ostatniem posiedzeniu akademii napisów. Jeden ze starych moich znajomych, świeżo przybyły z kraju, prosił mnie, aby go zaprowadzić na jedno z posiedzeń. Poszliśmy więc tam w Piątek... ja, służąc mu za obligowanego Cycerona. Kiedy się tak gapimy w sali N-r 2-gi, czekając na zjawienie się akademików, wtem mój towarzysz chwytła mię za ramię z wy-

krzykiem jakby zadziwienia woła:—A, panie! — Spojrzałem w stronę, ku której był zwrócony mój towarzysz, i poznałem, że to co mu dało powód do okrzyku, było to ukazanie się we drzwiach jednego z celniejszych akademików...

Wyobraźcie sobie ogromny, niezgrabny kadłub, obwisły, na krótkich nóżkach, które go widocznie z trudnością dźwigały. To też człowiek toczył się prawdziwie, a nie szedł; ogromna głowa pokryta rzadkim, długim w tył odrzuconym i już siwiejącym włosem, barwy ciemno-blond, pochylona była ku pierśmiom, jakby ciężyla na karku; twarz pełna, o grubych jakby nabrzmiąłych rysach, była zasępiona w tej chwili. Nos brzydki, gruby zwieszał się ku nieforemnie zarysowanym ustom; oczy siwe zasunięte pod brwi krzacyste, nawisłe, krótkie ramiona, pulchnemi zakończonymi rękoma, dopełniały niesfornej i nieszykownej postaci nowego przybysza—a tym był znany światu akademik p. Renan.

Ubrany czarno, w suknie suto skrojone, narzucone nań niedbale, jakby na wieszadło, wyglądał w tej chwili niby na księdza lub pastora w karykaturze — i musiałem wdać się w obszerne objaśnienia, aby przekonać zdziwionego towarzysza, że ma przed sobą jednego z najświetniejszych luminary, tutejszego świata uczonego. Czulem dobrze, że postać ta nie odpowiadała wcale temu typowi, jaki musiał stworzyć daleki przychodeń, nacytawszy się dzieł jego.

A że zdarzyła mi się przypadkiem sposobność, naszkicowania tu postaci tego uczonego — pozwólcie, że, idąc dalej w kierunku raz wytkniętym, powiem wam słów kilka o jego ostatniej książce, świeżo wyszłej na świat. Jest to tem bardziej na czasie, że w żadnym z licznych dzieł tego pisarza niema tak dokładnego obrazu jego usposobień, dążności i charakteru. Książka tu nie stanowi pewnej, jednolitej całości. Są to oderwane jakby błyski moralnego kalejdoskopu człowieka — pisane w rozmaitych przedmiotach, w rozmaitych epokach, do wielu rozmaitych osób, po największej części przyjaciół autora. Ukrywa w sobie przecież ta książka najlepszą autobiografią i pokazuje jasno — kto jest Renan i dokąd chce nas prowadzić?

Każda nowa książka tego autora jestto ważny wypadek literacki we Francyi; ztąd więc: „Oderwane kartki“ (*Feuillets détachés*) świeżo wyszłe na świat, tem są jeszcze ciekawsze, iż stanowią pewien rodzaj pamiętnika.

Najważniejszą częścią tej książki jest przedmowa autora, jako najświeższa w całym jej składzie; reszta rozdziałów są to: mowy i przemówienia, wygłoszone z powodu rozmaitych okoliczności, listy i artykuły, ogłoszone drukiem już dawniej. Ale chociaż są to znane już rzeczy, zebranie ich obecne w jedną całość zajmuje przecież czytelnika, jakby spotkanie starego, miłego przyjaciela.

Po większej części są to traktaty głębokiej filozofii, a obok nich mnóstwo tych zajmujących gawęd, w których celuje ten pisarz, i gdzie dowcip i sceptyczny pieprzyk zastępują nieprzyjemny skrzyp naciąganej dobroduszości,—bo ten gruby człowiek jestto kmiot bardzo cienki. Wszystko to zresztą jest wypowiedziane tym stylem wytwornym, który stanowi wybitną właściwość autora.

Wskazałem przedmowę jako część kapitalną książki. Mam obowiązek przytoczyć z niej wybitniejsze ustępy. P. Renan, tłumacząc się: dlaczego w całej książce mówi szczególnie o sobie?—dodaje, że takie było życzenie jego przyjaciela i wydawcy, Kalmanna Lévy'ego, kiedy go prosił o ten przyczynek do wydanej już całości prac renanowskich.

„Zarzucałem często—pisze w tej przedmowie p. Renan—wyższym umysłem naszego czasu, iż są zbyt podmiotowe (*subjectifs*), że się zbyt sobą zajmują, że się niedają dosyć pociągnąć, pochłonąć przedmiotem — to jest tem, co jest przed nami: światem, naturą, historią! Żle jest zawsze mówić o sobie — dowodzi to, że zbyt myślimy o sobie. Owóż czas poświęcony myśleniu o sobie, jest to jakby to powiedziano niegdyś: okradanie Boga.

„W czasie, kiedy zacząłem umieszczać w *Revue des deux Mondes* cały ciąg mych zwierzeń, spotkałem się z Juliuszem Sandeau, który mi oświadczył, że z przyjemnością je czytał. „*Dulcia vitia*“—odpowiedziałem mu na to.—Dziś pobłażliwa publicz-

ność, zemści się kiedyś. A jakże się dowiem, że jest ona w przededniu zmiany swego zdania?

— Nie, Renanie — rzekł mi on na to — publiczność będzie zawsze zadowolona, gdy będziesz jej mówił o sobie.

„Widzę, że ta opinia Sandeau zaprowadziła mnie zadaleko może, ale niech się zaspokoja surowi z mych przyjaciół, ci, którzy uważają tę książeczkę za żarcik: nie będę pisał więcej podobnych. Od pewnego czasu gram rzeczywiście w grę niebezpieczną, to jest mówię ciągle o śmierci, a zajmuję tymczasem miejsce, które młodym ludziom z geniuszem śpieszno jest zająć! Boję się, aby mię nie schwymano za słowo wkrótce, domagając się, abym dotrzymał przyrzeczenia; muszę się więc zatrzymać“

„Młodzi przyjaciele! Za lat czterdzieści lub pięćdziesiąt, o iluż-to dowiecie się rzeczach, o których ja nigdy wiedzieć nie będę—mówi p. Renan, czyniąc przegląd nabytej dziś wiedzy i wołając do dzisiejszego pokolenia:—ileż to zobaczycie rozwiązanych zagadnień! Jaki nastąpi rozwój rdzennej myśli Wilhelma II-go? Co się stanie z walką narodowości europejskich? Jaki wezmą obrót kwestye społeczne? Czy wyjdzie coś ważnego z tego społecznego ruchu, który się zaczyna? Jaki los czeka przyszły stan papieżstwa? Niestety! Ja umrę, nie widząc nic z tego wszystkiego, chyba zapomocą przypuszczenia — a wy, wy będziecie patrzeć na spełnione fakta. Powiadają, że w górach Libanu znajdują się stare testamenta arabskie, w których umierający kładzie za warunek swych zapisów, że przyjdą go spadkobiercy zawiadomić w grobie, kiedy Francuzi staną się panami kraju. I ja powiadam sobie czasami, że są takie nowinki, które podszepnięte zniecka do mego ucha w grobie—mogłyby mię tak poruszyć, iżbym zmartwychwstał. Ale tak często czytałem w Biblii, że w głębi „Szolu“ nie wiedzą nic o tem, co się dzieje na ziemi, iż o niczem tam nie słyszą i nie pamiętają!.. Nie, żadnego takiego kodycyłu nie położę na końcu mego testamentu.“

A trochę dalej, budząc zaufanie w swem sercu, pomimo wszelkie zwątpienia, które szturmują do jego umysłu, pragnie uwierzyć, on, co w nic nie wierzy—w *pociągającą przyszłość*.

„Francya w swoim szalonym pochodzie komety znajdzie swą drogę prędzej, niż pozwalają się tego spodziewać pewne oznaki. Przyszłość nauki jest dziś zapewniona, gdyż w wielkiej księdze naukowej wszystko się dodaje i łączy, a nie się nie traci. Błąd nie funduje niczego, żaden błąd nie trwa długo. Uspokójmy się. Zanim tysiąc lat przeminie, miejmy nadzieję, że ziemia znajdzie sposób na to, aby zastąpić węgiel kamienny, gdy ten się wyczerpie, i w pewnym względzie postawić równowartość na miejsce cnoty, której ubytek na ziemi przewidywać można.“

Ponieważ niepodobna, aby p. Renan rozmawiał długo, nie troszcząc się o to, co jest poza światem i życiem, a więc filozofia sprowadza go do religii, której chociaż sam nie uwielbia, przyznaje wszakże jej konieczność, przynajmniej dla pewnej cząstki ludzkości, i wyraża dziwną formułę:

„Zachowajmy — powiada — miejsce dla muzyki i kadzidła w naszych pogrzebach. Niezmiernie niżony poziom moralny, a może i umysłowy, nastąpi po tym dniu, kiedy religia zniknie z oblicza ziemi. My możemy jeszcze się obyć bez religii, bo są tacy, którzy mając ją, zastępują nas w tym względzie.“

Wygodnym to jest—niema co mówić!—Ale przymtem nie chce p. Renan, aby, gdy upadek religii „uważanych za objawione“ stanie się nieuniknionym, pociągnął za sobą zagładę uczuć religijnych!

„Przez chrystyanizm staliśmy się zbyt trudnymi i wymagającymi. Potrzeba nam Nieba, nie mniej, ni więcej, tylko Nieba, i pragniemy je posiadać z pewnością. Otóż zadowolnijmy się mniejszym zyskiem. Przed kilku laty p. Rotschild utrzymywał z żywością w konsystorzu izraelskim doktrynę o nieśmiertelności duszy. Jeden z uczonych izraelitów starej szkoły, który mi to opowiadał, dodał tę uwagę: „Czy to podobna rozumieć? Człowiek tak bogaty, pragnący jeszcze nadto wszystko raj! Niechby to nam zostawił, nam biedakom.“

Pomijam tu wiele kartek nieobojętnych i zatrzymuję się na ciekawym ustępie z życia bretońskie-

go, rodzinnej ziemi Renana, jak wiadomo. Opowiedziany z niesłychanym wdziękiem stylu rozdział pod tytułem: „*Emma Kosilés*“ zamyka opowiadanie o biednej, pobożnej dziewczynie, co zakochana w człowieku, który jej nie kocha, wstępuje do klasztoru. Z tej-to zapewne historii zaczerpnięta została myśl późniejszego dramatu „*Ksieni z Jouarre*.“

„Pilna w modlitwie i w pobożnych ćwiczeniach, prędko się poddała z łatwością religijnym zwyczajom klasztoru. Po kilku dniach powolne kołysanie i monotonia życia zakonnego potrafiły ją uspić i jej stan zwykły stał się jakby snem pełnym słodyczy.“

„Czy zdołała w ten sposób zniszczyć w swem sercu obraz tego, co opanowało całą jej istotę? Zadała miara; ani próbowała nawet tego; ani podejrzewała nawet, aby ta myśl była występna. Był to, jak w pieśni, zupełny raj w jej łonie. Prędzejby zwątpiła o Bogu, niż o prawości uczucia, które ją wypełniało. Jej miłość była w niej w tym stanie marzenia pełnego słodyczy nieskończonej, tkliwej muzyki na jedną nutę. W tym stanie głębokiego uspokojenia nie było ani wzmoczenia, ani osłabienia. Nie odróżniała wcale swojej miłości od pobożności, ani pobożności od miłości; w tem zespoleniu znajdowała wdzięk niesłychany. Czując instynktownie, że kobieta musi albo się nasycać szczęściem albo cierpieć, znajdowała pewien rodzaj rozkoszy w umartwianiu swego ciała. Doznawała głębokiej radości na myśl, że ponosi te wszystkie cierpienia dla tego, którego ukochała, i mówiła, że żadnego innego dla niej nie będzie człowieka prócz niego. Ten stan jej nieokreślonej miłości doznawał potężnej pobudki odżywczej w chwilach, kiedy mury klasztoru rozbrzmiewały przeciągłymi a monotonnymi śpiewami.“

„Ten, którego kochała, człowiek, który nie wiedział o jej miłości, Emilian, żeni się, następnie wdowieje, a przypadek zrząda, że jakiś poczciwy kapłan powierza staraniom Emmy dwoje dzieci Emiliana. Oboje, naturalnie, spotykają się ze sobą. On zrozumiał odrazu, co się działo, co się musiało dziać, w sercu Emmy: żeni się z nią. Małżeństwo to jest szczęśliwe; żyją długo i mają ośmioro dzieci.“

Oto i cała opowieść, ni mniej, ni więcej—niema tu ani wymysłu, ani przystrojenia napozór, zdaje się, że to rzecz, co się wczoraj stała; w gruncie jednak widać, że autor tak się urządził, aby rozumiano, że to jest podsłuchane z natury, że to natura sama była twórcą opowiadania, która on tylko pod jej dyktowaniem spisał. Ale czytając te wieczne opisy miłości pod habitem, te popędy namiętności w murach klasztornych, domyślamy się, że to sam p. Renan, a nie żadna tam natura, pisze to opowiadanie—że to p. Renan wyciągnął z szopy stary habit alumna i udaje tajemne rozmowy marzonych pożądlowości.

Szkoda, że nie mogę wszystkiego przepisać, bo mamy tu całego Renana; byleby zetrzeć trochę umyślnie nałożonego blichtru, a ten z *cicha-peki* staje przed nami w całej prawdzie. Takie, na przykład, rozdziały, jak ów, gdzie rozbiera list swego naiwnego Achatesa p. Berthélot, profesora chemii, do Juliusza Lemaître'a, albo, gdzie studjuje Wiktora Hugo! Ale oto kilka słów próby, jak sądzi George'a Sanda; mówiące o książce *Ma vie*, tak pisze:

„Wielu będzie ją czytać, ale mało kto potrafi zrozumieć podobną szczerłość, taki brak zupełnej deklamacyi, takie głębokie obrzydzenie pozy i frazy, tyle niewinności w umyśle. Geniusz tu igra z błędami, jak dziecko z węzami, które go nie ranią.“

Kartki poświęcone wspomnieniom jego współpracownictwa w *Journal des débats* są bardzo ciekawe. Mówi on tam o braciach Bertin'ach, o Prévost-Paradolu, o Sacym, Rigault'cie, Juliuszu Janinie itd. Przytoczę tu tylko lekki szkic Saint-Marc Girardin'a, bo jest tu i jego osobiste zwierzenie:

„Saint Marc Girardin był to głęboki polityk. Jego sposób mówienia, pełen siły i pewności, odznaczał się żywością i bystrością umysłu. Bałem się go trochę, jak obawiamy się zwykle profesorów uniwersytetu. Otóż, jest to moim zwyczajem używać niewłaściwych wyrażań w mowie,

umyślnie w taki sposób, iż cała moja myśl spoczywa właśnie na niepoprawnym wyrażeniu, i ztąd dobitniejszą się staje. Przywykli karcieć to w mowie swych uczniów, profesorowie nie rozumieją tej obawy mówienia jak z książki, i znajdują, że moja rozmowa jest zbyt wypełnioną i zawałoną.“

Z powodu tego, w jaki sposób pisaną jest historia, sposób tak różny od tego, jaki przepisał Izokrates, p. Renan czyni sprawiedliwą uwagę, a zarazem składa następnę wyznanie:

„Pamięć ludzka, prócz tego, że jest zbyt krótką, jest jeszcze niewierna, niedokładna. Mam zaszczyt być członkiem komitetu historii literatury francuzkiej w akademii *des Inscriptions et belles lettres*. Gdyby wiedzano, jaką pralnię błędów sprawiamy na każdym naszym posiedzeniu, świat cały stałby się niedowiarkiem i przestałby wierzyć w to, co się mówi i rozpowiada. Sąd ostateczny, przypuszczając, że Przedwieczny da tam miejsce przesłuchaniu świadków, będzie wielkiem pasmem nieprawości!“

Tu, jako przykład tych fałszywych świadectw, p. Renan przytacza fakt, który miał miejsce woneczas, kiedy autor uczestniczył w 18-ym jubileuszu Pompejów.

„Zwiedziliśmy szczególnie tę aleję grobowców, jedno z miejsc najpoetyczniejszych świata; usiedliśmy na gościnnych stopniach, które umarły ofiaruje żywym, jakgdyby im życzył wypoczynku; poczem poszliśmy pokłonić się przy bramie miejskiej miejscu, gdzie znaleziono owego żołnierza, ofiarę powinności spełnionej, gdy jeden z naszych współtowarzyszy zatrzymał nas nagle — „Wszystko się zmieniło — powiedział — ten mały zakątek nie jest to wcale, jak dotąd myślono, budka żołnierska; mylnie widziano w trupie, który tu znaleziono, resztki placówki, która zginęła dla obowiązku, przyjmując raczej widoczne niebezpieczeństwo śmierci, niżeli ucieczkę. Ten człowiek nie zasługuje na zaszczyty, które mu oddano: był to może poprostu złodziej.“—Zamyśliłem się nad tem głęboko. Jaktó! nawet po śmierci bohater powinności, stosownie do fantazyi archeologii może ująć za złodzieja! Trup złodzieja może sobie przywłaszczyć przez wiele lat, wskutek omyłki starożytników, cześć należną bohaterom!“

Nie mogąc wszystkiego przepisać tutaj, muszę się zatrzymać—przed końcem jednak powinienem zwrócić uwagę czytelników na rozdział mający za tytuł: *Rachunek filozoficznego sumienia*, który mię uderzył prawdziwością odzwierciedlenia najbardziej osobistych wrażeń i myśli autora. Chwiejny ten w gruncie i sceptyczny umysł nie daje też nie nad to, co mu przewodniczyło w całym życiu: zwątpienie. Cały rezultat tylu lat pracy i rozmyślań zamyka się w tem, że dusza nasza nie istnieje wcale jako substancja odrębna. Cóż my wiemy o tem? Co wie o tem autor? Tembardziej, że na innem miejscu sam naucza, iż rzeczy tak się mają na świecie, jakgdyby dusza istniała. „Należy tak postępować, mówi, jakgdyby Bóg i dusza istniały“ a więc pocóż zaprzeczać? Koniec końców, co się najjaśniej pokazuje z całej filozofii p. Renana, oto, iż wszystko się zamyka w słowie: „*Gaudeamus*“. Wesołość, na tem koniec!

„Wyrzucano mi ciężko—pisze—żem zbyt apostołował tę religią, łatwą z pozorów, a w gruncie najtrudniejszą ze wszystkiego. Nie jest wesołym kto chce. Potrzeba na to pochodzić ze starego szczerpu ludzkości, potrzeba nadto być zadowolonym z własnego życia. Życie moje było takie, jakiego chciałem—takie, jakie uważałem za najlepsze. Gdyby mi przyszło je rozpocząć nanowo, nie zmieniłbym w niem wiele. Zkądinąd nie lekcam się przyszłości. Będę miał mój życiorys i moję legendę. Moję legendę?... Mając wprawę w pisarzy duchownych, mógłbym ją napisać zawczasu. Legendy nieprzyjaciół panującego kościoła wszystkie są robione na jedną modłę...“

Pomimo całej sympatyi, jaką obudza wielki talent pisarski p. Renana, doznajemy, powiem to otwarcie, pewnego rodzaju wstydu, słysząc człowieka, który dziś przebiegł większą część drogi żywota, i który, jak sam powiada, będzie zmuszony opuścić wkrótce zajmowane przez siebie miejsce, głoszącego nam, jako ostatnie słowo nauki, zwątpienie i niedowiarstwo. Wiem ja, że

wszystko to jest powiedziane z uśmiechem na ustach; ale przypomnijmy mu, że wesołość, śmiech w tego rodzaju przedmiotach, nie udziela się z łatwością.

Z tego wszystkiego pokazuje się jasno, że p. Renan uważa się za jednego z najniebezpieczniejszych nieprzyjaciół Kościoła. Może się przecież uspokoić w tej mierze; nie jego-to jeszcze rękoma zwalony zostanie wiekowy gmach kościoła. Bo jak się wyraził, w pewnej, trudnej okoliczności Pius IX, odpowiadając tym, którzy objawiali bojaźń, aby nie zatonęła nawa S-go Piotra: „Zaloga może zginąć, ale łódź wypłynie cała.“ Zresztą p. Renan, obeznany z historią kościelną, pamięta zapewne, co to za osobistości potężne były z tych herezjarchów, którzy w pierwszym już wieku naszej ery prowadzili szturm do niewzruszonych zasad Kościoła, a przecież on dotąd, jak stał, tak stoi, *neq mergitur!* We Francji, i to nie w całej, p. Renan ma pewne znaczenie. Ale kościół, jak ów starożytny pretor: *de minimis non curat.*

Zapewne, że najwierniejsi nawet niewiele wiedzą, co się na tamtym świecie dzieje; ale też i niedowiarki niewiecej od nich wiedzą... Miej nadzieję, albo jej nie miej: to zależy od woli każdego, ale nie wolno oszukiwać nikogo i odbierać mu wszelkiej nadziei. Wiara i potrzeba przyszłego żywota jest niezbędną dla człowieka, który bardzo słusznie jest niezadowolony z życia tegocześnie: pozwólcie mu, wy, ludzie uczeni, którzy się przyznajecie, że nie wiecie, pozwólcie mu na to słodkie złudzenie, które mu ostatni krok ułatwia!

P.S. W artykule *Bluszczu* (N. 9): „O matce Goethego“ znajduje się taki przypisek: *Aja*—niewiadomo dotąd skąd właściwie pochodzi nazwa *Aja*.“

Należy się to zapewne drogiemu entuzjastcie Wielandowi. On-to pierwszy dom matki Goethego nazwał: *casa santa* (Dom święty), naśladując w tem nazwę Domku loretańskiego, a ponieważ dom tej pani był *casa santa*, a więc i sama pani musiała być *szcista* (hagia), albo przez ściągnięcie *Aja*, co znaczy pogrecku: święta, jak do dziś sławna świątynia w Carogrodzie zowie się „*Aja-Sofia*.“

NOWELLE I OBRAZKI

Juliana Łętowskiego.

Bohaterem pierwszej z kolei nowelki znanego autora *Izraela na puszczy* jest Robakiewicz, ubogi i wyśmiewany przez wszystkich kolegów uczeń trzeciej klasy. Było to stworzenie ciche, potulne, pracowite, acz o bardzo miernych zdolnościach, stworzenie, które właśnie dzięki swej potulności było przedmiotem ciągłego pośmiewiska, ba, i pewnej pogardy nawet u swoich kolegów, nie szczeniących mu dla okazania swej antypatii najrozmaitszych przezwisk, z których „Lizus“ było niewątpliwie najobelżywszem i, co gorsza, najniesłuszniej mu danem: trzecioklasiści widzieli bowiem, jak nieraz stary „Cicero“ (nauczyciel łaciny) podchodził do Robakiewicza, rozmawiał z nim łagodnie i często klepał go nawet po ramieniu; to wystarczało im zupełnie, aby kolegę nazwać „Lizusem.“ Robakiewicz nie obrażał się bynajmniej o to i wszystkie przezwiska i złośliwe przycinki kolegów znośił z godnym podziwieniem spokojem. Atoli pewnego razu zaszedł wypadek, który do gruntu zmienił nieprzyjazne dotychczas usposobienie chłopaków. Naraz Robakiewicz, co było dotąd rzeczą niesłychaną, kilka dni z kolei nie pokażał się w szkole. Na żądanie „Greka“ (nauczyciela greczyzny) kilku kolegów poszło go odwiedzić wieczorem. Zbliżywszy się do nędznego domku na przedmieściu, gdzie mieszkał Robakiewicz przy rodzinie węglarzy, ujrzeni przez oświetlone okno, ku wielkiemu zdumieniu swemu, starego Cycerona, który siedział za stołem i przymierzał na chłopca stare swoje spodnie, zszywając je i skracając podług miary. Teraz całą tajemnicę częstych rozmów starego nauczyciela z nielubionym kolegą

zrozumieli dokładnie: Cyceron opiekował się biedakiem i teraz oto właśnie razem z kilku drobnymi monetami przyniósł mu stare odzienie, którego brak zatrzymał Robakiewicza przez kilka dni w mieszkaniu. Widok zaszywającego dziury nauczyciela i stojącego obok pokornie z wyrazem wdzięczności chłopaka wycisnął łzy z oczu poczciwej w gruncie diatwy. Od tej pory Robakiewicz stał się ulubieńcem kolegów w całej szkole i nikt bezkarnie nie mógł go teraz nazwać Lizusem lub w sposób lekceważący odezwać się o Cyceronie.

Drużga z kolei nowelka: *Idylla* jest wdzięcznie nakreślonym obrazkiem sielanki miłosnej pracującego w fabryce chłopca i dziewczyny, sieroty, będącej pod opieką Niemca, majstra fabrycznego, który zabierał sobie wszystek jej zarobek i w dodatku bił ją niemiłosiernie, gdy upił się w karczmie przydrożnej, dokąd co tydzień regularnie wszyscy schodzili się robotnicy, aby część tygodniowego zarobku zostawić u karczmarza za wódkę i zakąskę. Dziewczyna, sprzykrzywszy sobie nieznośny despotyzm opiekuna, postanawia bądź-co-bądź uwolnić się od niego, i w tym celu wybrałszy stosowną porę, razem z kochanym przez siebie chłopcem, który właśnie przed chwilą wyznał jej swą miłość podczas samotnej nocnej przechadzki po polu, puszcza się pieszo do Warszawy.

Marczyński—to stary majster stolarski, którego jedynaczką, piękną Joasia, uwiedziona przez donżuaną warszawskiego, truje się fosforem. Stary ojciec na jej pogrzebie z rozpaczny spił się poraz pierwszy w życiu tak mocno, że leżał bez duszy. Od tej pory począł, jak mawiano, „napijać się“ coraz częściej, a od czasu, gdy i żona jego przeniosła się do wieczności, codziennie już szukał uspokojenia u Joska na rogu Tamki i Topieli. Ludzie, patrząc na pijanego stolarza, wracającego z szynku do domu, szepeją czasem: „To tak za dzieckiem“.

W nowelce p. t. *Ja, on i ona* mamy prześlicznie wyrzeźbiony obrazek cichej, spokojnej, ale natomiast głębokiej i stałej miłości ubogiej nauczycielki dla młodego lekarza. Staś, będąc jeszcze studentem, zakochał się w Helenie, zyskał jej wzajemność, a miłość ta dwojga młodych ludzi przybrała szybko charakter sielankowy: mówili sobie po imieniu, odwiedzali siebie wzajemnie, zwierając się ze wszystkich kłopotów codziennego życia, i nieraz ona ze szczupłej, uzbieranej w ciągu długiej pracy nauczycielskiej sumki udzielała mu pożyczek w chwilach krytycznych; szczęście ich złociła nadzieja rychłego ślubu. Tymczasem Staś, po ukończeniu studiów lekarskich, wyjechał za granicę i odtąd jasna gwiazda dziewczęcia blednąć poczyna: Helena otrzymuje od narzeczonego listy coraz rzadziej, coraz chłodniej pisane, a w końcu dowiaduje się, że Staś, wróciwszy do kraju, zamierza się ożenić z bogatą panną. W pierś zawięzanej dziewczyny rodzi się ból cichy, spokojny, ale silny, trawiący powoli cały organizm. Leżąc już na śmiertelnej pościeli, Helena, ofiara lekkomyślności młodego chłopca, pragnie poraz ostatni widzieć ukochanego i usiłuje całą potęgą miłości swojej usprawiedliwić go, oczyścić z winy przed sobą i ludźmi. Jest to jedna z tych natur, częściej spotykanych wśród kobiet, co w wielkiem uczuciu swoim niezdolne są nigdy zrozumieć krzywdy wyrządzonej sobie, i w najgorszym nawet postępku osoby ukochanej usiłują tylko stron dodatkich dopatrzeć.

Również sympatyczną i również bierną niejako a nieszczęśliwą w życiu postacią jest bohater nowelki p. t. *Amant komiczny*. Aktor prowincjonalny Felix służył z początku jako chłopiec sklepowy w handlu win, gdzie miał sposobność przysłuchiwania się rozmowom uczęszczających tu aktorów. Rozmowy te o sztuce i życiu aktorskiem żywo zainteresowały chłopaka, którego od tej chwili całkowicie pochłoniął teatr i sztuka sceniczna. Po długich zabiegach urzeczywistniwszy w końcu jedyne marzenia swoje, Felix rozpoczyna nową epokę swego życia, przejeżdżając wraz z trupą aktorów wędrownych z miejsca na miejsce, znosząc ze stoicką rezygnacją nędzę materyalną i gorsze od niej stokrój szyderstwa swoich kolegów i koleżanek. Rozczarowania w przyjaźni i zawody w miłości nie zdołały stłumić w nim wrodzonego optymizmu i dziecięcej czysto ufności i wiary w ludzi.

Wprawdzie nakrótka przed zgonem, gdy chory na suchoty, leżał w szpitalu, stał się nieco zgryźliwym i opryskliwym, ale zapału i miłości dla sztuki nie utracił ani na chwilę. Leżąc w łóżku, wciąż uczył się ról, których już nigdy nie miał odegrać, a umierając, myślał jeszcze o tym „idycie“ Greczyńskim, jak okropnie musiał paskudzić na scenie jego ulubioną rolę.

Ostatnia, najpowabniejsza ze wszystkich powyższych utworów Łętowskiego nowelka p. t. *Schadzka* jest epizodem, wyjętym z dziejów miłości dwóch istot i skreślonym nadzwyczaj barwnie i poetycznie. Z monologu bohatera nowelki dowiadujemy się o charakterze idealnego stosunku, który zachodził między dwojgiem młodych ludzi i o szczegółach schadzki, odmalowanych z wielkim wdziękiem i artystem.

Przyjrząwszy się pobieżnie treści utworów Łętowskiego, możemy łatwo zauważyć, że bohaterami ich są w ogóle osobniki niezem w gruncie rzeczy nieróżniące się od ogółu ludzi, a jeśli i wyrastają ponad zwykłą miarę popolitości, to chyba miłością swoją, uczuciem potężnym, a mimo to cichem, nie zdradzającym się żadnym gwałtownym wybuchem. Robakiewicz, Marczyński, Helena i Felix—toć to, rzekłbyś, rodzeństwo pod tym właśnie względem: wszyscy ci ludzie zdolni są kochać głęboko i wszystko przebaczać, i dlatego właśnie cierpią podwójnie. Marczyński, trawiony bólem po śmierci córki, rozpija się ostatecznie, a i na myśl mu nigdy nie przyszło, aby się zemścić na uwodzicielu; ba, on nawet i nie przypuszcza, aby ów fakt uwiedzenia mógł się wydarzyć. Helena usprawiedliwia wszystkie postęпки Stasia, zdradzające oziębłość jego ku niej, i raczej siebie obwinia, nie zaś jego. Felix z zapalem poety do sztuki i z dziecinną nadzieją w różową przyszłość rzucea się w świat i wszędzie doznaje rozczarowania, a mimo to nie żywi żalu do nikogo i jeszcze w chwili śmierci najbardziej martwi się niedołącznym odegraniem przez kolegę roli, w której on sam celował. Wreszcie malec Robakiewicz, przedmiot ciągłych drwinek kolegów, z godną podziwu cierpliwością znosi wszystkie bardzo nieraz dotkliwe przycinki i nie wyobraża sobie nawet, aby kiedykolwiek można było, choćby w sposób najbardziej niewinny, odemścić się za to. Poniękad Franka i Józika, główne postaci z nowelki *Idylla*, stanowią pod tym względem wyjątek, ale i tu, jeśli widzimy budzącą się chęć zemsty nad Niemcem, to tylko jako uczucie chwilowe, szybko przemijające. Natomiast różnią się one od postaci poprzednich nierównie większą energią i siłą odporną wobec przeciwności; gdy tymczasem Marczyński, Helena, Felix i nawet Robakiewicz (aczkolwiek charakter nieurobiony jeszcze) okazują raczej natury bierne, niezdolne do energicznej walki z przeciwnościami. Z tem wszystkiem są to postaci niezmiernie sympatyczne w prostocie swej, poczciwości i w cierpieniach swoich. Autor w nowelkach tych nie dobierał tematów szerszych, nie siłił się na utworzenie charakterów oryginalnych lub na wyjaśnianie subtelniejszych zjawisk w dziedzinie ducha ludzkiego, ale poprostu dał nam plastyczne i wdzięczne obrazki z życia ludzi zwyczajnych, w których piersi mogą się rozgrywać dramaty tak samo, jak i w głębiach umysłów wyższych. Autor umiał w codziennem życiu swych bohaterów dopatrzeć się tych scen dramatycznych i, co ważna, umiał tych ludzi ukochać gorąco, co właśnie utworom jego zapewnia dobre stanowisko wśród nowellistyki obecnej.

J. Nitowski.

Kronika działalności kobiecej.

— Piszą z Petersburga, iż na przyszłym zjeździe weterynarzy ma być podniesiona kwestya założenia szkoły weterynaryi dla kobiet, nada-

jącej prawa, jakich używają pomocnicy weterynarzy.

— Fundusz emerytalny Tow. Opieki nad nauczycielkami i wychowawczyniami w Rosyi wynosi przeszło 30.000 rs.

— Na wystawę powszechną w Chicago wysłała p. Natalia Naryszkinowa koronki wyrobu włóścianek z gubernii Tambowskiej.

— Wskutek ogłoszenia zamieszczonego w „Kuryerze Warszawskim“, iż potrzebną jest lektorka, któraby czytywała dziennie godzin parę osobie słabej, zgłosiło się w ciągu dnia jednego blisko sto pięćdziesiąt kandydatek do tego zajęcia, a choć nazajutrz została przybita na drzwiach mieszkania karta, ogłaszająca, że lektorka już potrzebną nie jest, wiele zgłaszających się dzwoniło do drzwi uparcie, zapewne pragnąc otrzymać zajęcie po niższej cenie. Brak pracy, zwłaszcza dla kobiet z klas inteligentnych jest wielki, i greszą też te, — jak się bardzo często zdarza — które, nie potrzebując tej pracy jako środka utrzymania życia, wydzierają ją tym, dla których jest to kwestya chleba, i można też odezwać się do nich z Krasickim: — Żle się bawicie... Dla was to jest igraszka, nam chodzi o życie... Chciwość to jest — chciwość licha.

— Na zasadzie prawa pozwalającego kobietom zajmować się aptekarstwem mają wkrótce otworzyć w mieście naszym aptekę, założoną przez kobietę i obsługiwaną również przez kobiety, oraz przyjmującą je na naukę. Pozwolenie otwierania aptek po wsiach i osadach daje kobietom pole bardzo pożytecznej pracy — pole pracy bezspornej, bo przypuścić można, że niewielu mężczyzn będzie chciało oddać jej się na tych warunkach ograniczonych, jakie jedynie przedstawia może apteka wiejska we wsi parafialnej. Jest też tu miejsce dla niejednej paniutki ze dworu — dla niejednej z pomiędzy tych, które, potrzebując zarabiać na życie, cisną się do miast i spotykają się tam często z bardzo bolesnymi zawodami, bardzo bolesnymi przejściami.

— P. Walerya Marrené podniosła kwestyą smutnej doli szwaczek, które, przez życie całe pracując ciężko, nieraz w położeniu graniczącem z nędzą, rzadko kiedy mogą sobie zebrać fundusz, któryby zapewniał im starość spokojną z kawałkiem chleba własnym. Czy przeciw nie można stanowi temu zaradzić? Nadmierne ciśnienie się robotnic igły do Warszawy i miast większych stan ten wytwarza, gdy tymczasem wieś i miasteczka małe zaopatrują się, a raczej są zaopatrywane, przez lichych handlarzy bez uczuć obywatelskich w ubiory gotowe, przychodzące aż z zagranicy. Włóścianki, zajęte pracą nie tylko koło gospodarstwa domowego, ale i na zagonie w polu, w ogrodach, kupują te podsuwane im kaftany i zapaski, suknie, naśladujące modę miejską obcego nam smaku, obcego kraju — tandetę wybrakowaną, z najlichszych materiałów, co się powtarza i w odzieży męskiej. Nawet tkactwo, wyrób domowy płótna, wełniaków tkanych w domu, lub przez wiejskiego tkacza, zaczyna być coraz więcej zaniedbywanem. Czy kobiety, które jako szwaczki do miast zanadto się garną, nie mogłyby jać się tej pracy, przez wieśniaczkę zaniedbanej, z którą łączy się i rzecz jedna jeszcze. Rodzimy smak ludu paczy się i ginie, zaciera się charakterystyczne jego cechy i czy nie należy czegoś uczynić, aby złe zażegnać? Trzeba na to przeciw jakiegoś zespolenia usiłowań, bo gdy w Warszawie wyciągają się do pracy nie znajdujące jej ręce, na prowincyi rąk tych trzeba, aby wytwarzała się praca niemałego znaczenia w naszej ekonomii społecznej. Z niemiecką tandetą wchodzącemu do nas gustowi niemieckiemu należy wrota zamknąć, należy zarazem zamknąć ujęcie grosza naszego do niemieckich kieszeni, i trzeba, aby filantropia połączona z przemysłem rzeczy pokierowaniem stała na tym wyłomie. Ubogie szwaczki nie posiadają odpowiednich zasobów, aby materiał potrzebny zakupić, aby potem z niego przedmioty ubrania wieśniaków na skład wyrabiać; ale są tacy, którzy go mają i w tej porze letniej, zwanej zwykle ogórkową — w tej porze zastój pracy w miastach i biedy, nędzy robotnic, można by prowadzić przedsiębiorstwo wyrobu ubiorów włóścianek, tak zimowych, jak letnich, i po

jarmarkach je rozwózając, sprzedawać, urządzając obok tego kolporteryą przez kramarzy, jacy zwykle po wsiach drobny swój towar roznoszą. A sklepy po wsiach kościelnych, z efektywnym szyldem, z efektywną wystawą? P. Marrené poruszyła sprawę bardzo ważną. Czyby kobieta ze dworu, zwłaszcza paniutka ze dworu, nie jęła się tego przedsiębiorstwa? Niejedna chciałaby coś zrobić, lecz nie wie jak — chciałaby pracować — i czyżby przypozwane szwaczki miejskie w porze letniej nie mogły za taniem wynagrodzeniem przyspasabiać tych różnych części ubiorów ludowych, które handel, prowadzony przez lichych kramarzy, hurtownie od Niemców nabywa, aby z lichwiarskim procentem ludowi sprzedawać, obdzierając go, nie tylko z pieniędzy, ale i z tych charakterystycznych cech swojskości, których się nigdy bezkarnie nie traci?

— Zmarła w Poznaniu we wsi Kienczynie ś. p. Bogusławowa Lubińska tak szlachetnie przez życie iść umiała, że zyskany szacunek ludzki objawił się przy składaniu jej zwłok do grobu na ementarzu parafialnym wsi Kaźmierz. Przemawiał nad jej zwłokami, składanymi w grobie familijnym, jeden z włóścian, podnosząc cnoty i zasługi, przez jakie zmarła zaskarbiła sobie miłość i szacunek ludzki.

— W gmachu akademii berlińskiej przy ulicy „Pod lipami“ w sali zegarowej otwartą została, odbywająca się corocznie, wystawa artystycznych prac „Stowarzyszenia sztukmistrzów i przyjaciółek sztuki“ połączona z wystawą uczennic szkoły sztuki tegoż stowarzyszenia, liczącego w gronie swoim wszystkie wybitniejsze sztukmistrzynie niemieckie. Dzieła na wystawie tej zebrane znajdują tu często nabywców; przeciw zabierane przez nich nie są po skończeniu wystawy, gdyż wiele wystawczyń chce je okazywać jeszcze na ogólnej wystawie akademii odbywającej się w Maju. Tegoroczna wystawa sztukmistrzów liczy 328 dzieł wystawionych.

— Hr. Adelaida Schimmelman, przychodząc z pomocą biednym rzemieślnikom berlińskim, niemającym w czasie zimy dostatecznego zarobku, urządza dla nich sale pracy, płacąc im za wykonane tam roboty, które potem publiczność berlińska nabywa. W roku bieżącym sala wyrobów z drzewa, według danych wzorów, przedstawiała wiele bardzo pięknych rzeczy: stolicek, piętrowek, krzesel, szafek, toaletek, które publiczność chętnie nabywała. Pani ta dając ubogiemu najszlachetniejszą pomoc — możność pracowania, zyskała sobie wśród pracujących klas berlińskich wielką miłość a zarazem szacunek swego ogółu.

— W Londynie odbywają się z wielkiem powodzeniem odczyty higieniczne dla kobiet, obejmujące higienę dziecka, kobiety i w ogóle higienę rodzinną. Księżna Albany stała na nich bywa. Miss Kenealy, ukończywszy seryą odczytów, które miewała z ramienia londyńskiego Towarzystwa Zdrowia w Londynie, powtarzać je będzie w miastach prowincjonalnych. Stosunek wychowania do zdrowia, najpierw dziecka a następnie człowieka, to podstawa, na której rozwija swój przedmiot prelegentka. Hr. Aberdeen, wielka pani najwyższych sfer arystokracji angielskiej, miewała w wielkiej sali St James Hall odczyty o tem: jak kobiety pracujące mogą podnieść znaczenie pracy kobiecej przez odpowiednie przejęcie się pracą swoją, a szczególnie przez odpowiednie przygotowanie się do niej? Praca kobieca, nawet w tym zakresie, w którym łączy się z mężką, bywa niżej wynagradzana, głównie z tej przyczyny, że niemal ogólnie jest i w wartości swej niższą, nie przez brak potrzebnych tu zdolności, ale przez brak systematycznego uzdolnienia i systematyczności w wykonaniu.

— Odbyła się d. 12 b. m. miesiąca w sali ratusza londyńskiego konferencya dozorczyń wszystkich angielskich domów zarobkowych dla kobiet, w celu narady nad środkami działania w zakresie obowiązków swoich i wzajemnego udzielania sobie środków tu przedsiębranych i rezultatów osiągniętych. Zaczynają w Anglii wchodzić w zwyczaj takie zjazdy osób, pracujących w jednej gałęzi służby dla dobra ogólnego, co można nazwać bardzo pożyteczną rzeczą.

— M-rs Janina Ross napisała i wydała książkę, której obecnie wyszła edycja trzecia. „Trzy pokolenia kobiet“ poprzedzających to pokolenie, które jest dzisiejszem. Postęp, jaki się tu odbywa w rozwoju wykształcenia i pracy kobiecej, oraz straty i zyski w tym zakresie, tak kobiety samej jak rodziny i społeczeństwa angielskiego — to grunt przedmiotu. Autorka opiera się tu w znacznej części na pamiętnikach kobiet, rozbiieranych z punktu przedmiotowego.

— Dlaczego literacka praca kobiet w Anglii opłaca się wyżej, niż w każdej innej literaturze, i czy nie z tego powodu, że podejmują ją głównie kobiety odpowiednio wykształcone i zarazem zajmujące stanowisko kobiety w społeczeństwie? to zagadnienie, które tygodnik angielski *Sunday Sun* podniósł świeżo. Biorąc jako przykład literackich zarobków kobiety, zyski osiągnięte przez Miss Maryą Corelli, wykazał on na zasadzie liczb, że autorka ta ma rocznego dochodu z przedruków powieści swoich 1.000 funtów sterlingów, a taką samą sumę przynosi jej praca bieżąca. Należy jeszcze dodać, że Ameryka, używająca języka angielskiego, wcale się do tego nie przyklada.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Wilna, iż wyścigi tegoroczne odbędą się w Maju. Ponieważ wyścigi warszawskie mają się rozpocząć w d. 29, przeto wileńskie będą musiały je poprzedzić, lecz zamiast trzech dni wyścigowych, jak bywało poprzednio, będzie ich tylko dni dwa. Pierwsze gonitwy odbędą się d. 18 Maja, drugie d. 22 tegoż miesiąca. Przeznaczono do rozdania nagród 12, a między temi trzy od głównego zarządu stadnin po 700 do 1.000 rs., od miejscowego Towarzystwa wyścigów będzie ich 9. Największa nagroda: 1.000 rs., jest przeznaczona dla koni trzyletnich na odległość od 2 do 133 sążni. Udział w gonitwach mieć będą konie: ze stajni hr. Krasieńskiego Ludwika, Grabowskiego Ludwika i Jana Ursyna Niemcewicza. Ściągają się będą także konie p. p. Konstantego Gnoińskiego, Stanisława Żalutynskiego, Wańkowicza i Stefana Niezabitowskiego.

Jednocześnie odbywać się będzie doroczna wystawa koni. Nagrody dla koni ze dworów są: jeden medal złoty, pięć nagród pieniężnych po 75 do 150 rs., kilka medali brązowych i listów pochwalnych. Nagrody dla wystawców włóścian będą po 10 — 40 rs. za konia. Ogółem przeznaczono dla włóścian 400 rs. Wyścigi odbędą się na placu Snipskim, wystawa na Łukiszkach.

— Na zamówienie ś. p. hr. Andrzeja Zamojskiego wykonał rzeźbiarz Andrzej Prószyński postać Chrystusa, dźwigającego krzyż, która zdobi wejście do kościoła S-go Krzyża. Figura ta, jaka wykonana z cementu, ulega wpływom powietrza, wskutek czego potworzyły się liczne rysy, grożące jej zniszczeniem i autor dzieła pragnie, aby podobna figura została odlana z brązu. Koszta obliczone zostały na 6.000 rs., i jeden z parafian czyni obecnie starania, aby pozwolone zostało zbieranie na ten cel składek.

— Kierownik kolonii letnich dla ubogich a słabowitych dzieci warszawskich, D-r Markiewicz Stanisław, oznajmia, iż od d. 23 b. m. rozpocznie się zapis małych kandydatów i kandydatek do wyjazdu. Przybywający do zapisu najpóźniej po dniu 10 Maja, powinni zgłaszać się o godzinie w pół do ósmej do lokalu lecznicy N-r 1-szy (Niecała).

— Na posiedzeniu wydziału ekonomicznego Tow. Dobroczyńności zadecydowano dalszą restauracyą gmachu Towarzystwa na Krakowskim Przedmieściu, obliczoną na 4.000 rs. W biurze rady miejskiej dobroczynności publicznej wypłacono z zapisu ś. p. Auerbacha cztery wsparcia po 45 rs., przeznaczone dla podupadłych kupców warszawskich.

— Doroczne zgromadzenie członków Tow. Sztuk Pięknych, na którym zarząd Towarzystwa zdawał sprawę z działalności swojej w roku ubiegłym, odbyło się d. 1 i 2 kwietnia ze współudziałem 69 członków. Rozbierano kwestyą poczynienia możliwych oszczędności w celu zyskania zwiększonego funduszu na zakup obrazów i rzeźb do rozlosowania między członków Towarzystwa. Doroczne premia w formie sztychów, chromolitografii i oleodruków kosztują dużo, lepiej przecież użyć tych pieniędzy na zakup większej ilości obrazów do rozlosowania między członków, rozpowszechniając tym sposobem między publicznością prawdziwe dzieła sztuki. Wniosek upadł wskutek wyraźnego brzmienia ustawy Towarzystwa. Komitet postanowił ofiarować członkom na premium za rok bieżący bardzo piękne album, mieszczące ośm heliograviur z wyróżnionych na zeszłorocznej wystawie berlińskiej obrazów naszych.

— Prof. Zawiejski, architekt, który budował teatr nowy, wypowiedział wobec licznie zebranej publiczności, jakim będzie urządzenie sceny w nowym teatrze krakowskim. Prelegent dowodził, że wszystko będzie tu odpowiadało warunkom nowożytnego postępu w tym zakresie budownictwa, przyczem przecież musiano uwzględnić wydatki, ograniczone przez koszty, które przekroczyły sumę 600.000 zł. reń., jakkolwiek obliczono je przy początku budowy na 400.000 zł. reń. Teatr po ukończeniu budowy będzie jeszcze wymagał wiele kosztownych nakładów ze strony tych, którzy prowadzić go będą. Czy to będzie miasto, czy przedsiębiorca prywatny? niewiadomo jeszcze. W każdym razie deficyt jest w pierwszych latach nieunikniony. Wydział krajowy oświadczył przez pisma lwowskie, że gotów jest przyczynić się do kosztów budowy pod warunkiem przecież, że będzie mieć zapewniony sobie wpływ stanowiący na kierunek sceny krakowskiej. Rzecz jest zależną od decyzji miejskiej rady krakowskiej.

— Z inicjatywy lwowskiego Koła Literackiego a za współudziałaniem Krakowa zawiązał się komitet zamierzający wzniesienie we Lwowie pomnika dla Alexandra Fredry. Komitet już ogłosił konkurs, na który projekta mogą być nadsyłane przez wszystkich naszych rzeźbiarzy po dzień 1 Czerwca b. r. Pomnik stanie na skwerze przy ulicy Akademickiej naprzeciwko pałacu Fredrów, przedstawiając postać siedzącą wielkości 1 metra i 85 centymetrów od wierzchołka głowy do podstawy; postać ma być wykonaną z kararyjskiego marmuru, piedestał z odpowiednimi godłami z granitu. Nagród naznaczono trzy: pierwszą jest zamówienie na wykonanie posagu, dwie następne po 100 zł. reń. są zwrotem kosztów przygotowania szkiców, które należy przesłać pod adresem Literacko-Artystycznego Koła we Lwowie. Koszt pomnika nie ma przenosić 12.000 zł. reń. Skład komisji konkursowej wkrótce zostanie ogłoszonym.

— Głód panujący w Galicyi jest wielki. Wśród obrad nad tym okrutnym położeniem upominano się o pomoc dla chałupników, którym brak jest ziarn do siewu, dowodzone, że lud mrze z głodu i postawiono wniosek, aby kwota 100.000 zł. reń., uchwalona na ten cel przez komisją sejmową, rozdzieloną została na dwie części, a to, z przeznaczeniem 50.000 zł. reń. na zapomogi zwrotne, 50.000 na bezzwrotne. Już okazał się w niektórych okolicach tyfus głodowy.

— Doroczne sprawozdanie krakowskiego Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych wykazało, iż w roku sprawozdawczym było 6.337 akcyi rozebranych; dochód przyniósł 43.612 zł. reń. Kapitał żelazny, przeznaczony na budowę własnego gmachu, przedstawia już dość znaczną kwotę 22.829 zł. reń. Ko-

mitet wybrał na tegoroczne premium akwarellę Fałata „Polowanie z naganką“.

— Malarz, Antoni Piotrowski, został zaproszonym na członka sądu dzieł sztuki na wystawie artystycznej, mającej się otworzyć wkrótce w Filippopolu. Artysta ten przyrzekł obok tego pomieścić na tejże wystawie wiele swoich obrazów.

— Redakcja pisma czeskiego, wychodzącego w Pradze „Swetozora“ ogłosiła z zapisu ś. p. Ferdynanda Naprstka konkurs na napisanie najlepszego dramatu czeskiego. Treść może być historyczną lub z życia społecznego. Nagroda 300 zł. reń.

— Literat czeski, znany pod pseudonimem „Prawdomiła Czecha“ napisał pełną humoru satyrę obyczajów swego narodu, wycieczkę mieszkańca księżycy do Pragi, gdzie gościnnie jest podejmowany przez tłustego kamienicznika. Satyra ta odpowiada napisanej poprzednio wycieczce na księżyc pewnego mieszkańca Pragi, Brouczka. Autor obok satyry obyczajów czeskich daje tu i pewne popularne objaśnienia z dziedziny astronomii.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się: Arkusz 6-ty powieści pod tytułem **Na nowym łądzie**, przez Perfalla. Przekład z niemieckiego.

Pierwsza Szkoła Koronkarstwa

NAUKA BEZPŁATNA.

Zapis odbywa się w Poniedziałki i Środy od godziny 12 do 1 z południa. Desenie i przybory do wyrobu koronek nabyć można w Szkole Krakowskie-Przedmieście Nr 42, mieszkania 3.

Cale dzieło rs. 6. Zeszyt 25 kopiejek.

NOWY TESTAMENT PANA NASZEGO JEZUSA CHRYSYSTUSA

podług textu łacińskiego Wulgaty,

PRZEKŁAD X. JAKOBA WUJKA.

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską

Wydanie nowe in folio z komentarzem

Zaprobowane przez Konsystorz Archidiecezyi Warszawskiej

ozdobione 78 wspaniałymi ilustracyami

GUSTAWA DORÉ

Cena dzieła rs. 6 z przesyłką pocztową rs. 7.

W pięknej oprawie ze złoceniami i brzegami złożonemi w futerale rs. 10—
z przesyłką rs. 11—do odleglejszych gubernii Cesarstwa rs. 12.

Dzieło to nabywać można również **częściowo** to jest zeszytami; zeszyty rozsyłane będą co 10 dni.—Zeszytów jest 24. Cena zeszytu 25 kop. pocztą 32, na prowincyą ekspeduje się po 5 zeszytów naraz.

Księgarnia M. ARCTA, ulica Nowy-Świat N. 53.

Można nabyć lub prenumerować to dzieło również za zaliczką pocztową;—znajduje się we wszystkich księgarniach.

TREŚĆ: Jesus Christus Consolator (rysunek).—Marya Aniela Kerr, przez M. I. — Żal mi ciebie! przez Antoniego Pileckiego.— Pierzchliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Nowiny paryzkie (dokończenie). — Nowelle i obrazki, przez J. Nitowskiego.—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.—Ogłoszenia.

Dodatek obejmuje: Arkusz 6-ty powieści pod tytułem **Na nowym łądzie** przez Perfalla. Przekład z niemieckiego. Przegląd mód. 23 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.